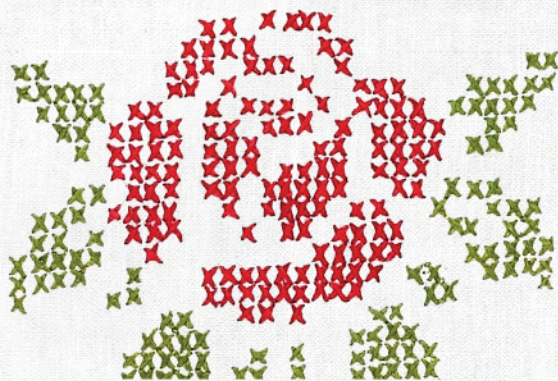




# *Wihajster do godki*

*Lekcje śląskiego*



*Barbara Szmatoch*

*Wihajster  
do Godki  
Lekcje śląskiego*

*Barbara Szmatloch*



Projekt graficzny okładki, konsultacje graficzne layoutu, dobór zdjęć: Krzysztofa Frankowska-Piechowicz  
Projekt graficzny i skład: OTOFOTO – [www.otofoto.info](http://www.otofoto.info)

[illegible]

Koordynacja projektu: Agnieszka Placek

© Copyright by AGORA SA 2017

[illegible]

Warszawa 2017



ISBN 978-83-268-2004-5



**Prawo własności** Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

Polska Izba Książki

Główny partner wydania:



Muzeum  
Śląskie



# *Wihajster do godki*

*Lekcje śląskiego*

*Barbara Szmatoch*

- 7 Wstęp – Śląska historia powszednia
- 15 Skond my sie wziyni?
- 18 Za dwoje do starzikow
- 21 Kasper Ololo i dama z persilu
- 25 Dostać po dzióbie i dać dzióbka
- 28 Chlyb pod klucym i kropelnicka
- 31 Przy kachłoku i żeleźnioku
- 34 Prawo do myrtowego wionka
- 39 Kaj sie podziół Skarbnik?
- 43 Mocie już wyszpanowane gardiny?
- 46 Z waszkorby do walkownie
- 51 Pelcmantle, pelise i ćičiki
- 54 Betlyjka w pupynsztubie
- 58 Winszowanie na bezrok
- 62 Brzynkadła i diobelske krzipki
- 65 Jak sztajgłach na ficywyrтка
- 68 Na wancki, szwoby i inksze choroby
- 71 Elwry i biydaszybikorze
- 74 Koždy majster mo wihajster
- 77 Gromnicka i ściskanie garła
- 80 Dzióbki, kusiki i handkuse
- 83 Świynto krepla
- 87 Starki, mamulki i frelki
- 90 Popielec i pragliwy werbus
- 94 Fto jes fto w fotoalbumie?
- 98 Uciecha z boznów
- 103 Palma i zmaraszony kołoc
- 107 Niy lyj sie żurym
- 110 Mieć cips na zołajery
- 113 Ćipki i kulanie jajec
- 117 Egzekucjo marzanny i marzanioka

- 121 Na pomp, borg abo heft  
125 Nojwiyncy larma robiył szlagcojg  
129 Koždy bajtel nosi szajtel  
132 Mlyce, mlycoki i kokoci galoty  
134 Jak Ziguś komunio przepasowoł  
137 Fany i mojiki  
140 Gywery, flinty, rebuliki i luftbikse  
143 Anproba u szwocki  
146 Smak kiszki i hatskyjzy  
149 Yjzle, ynty i yntki  
151 Jaki potek, taki skrzotek  
155 Szizbuda, makrony i placpatrony  
157 Pońc z grochym w szczewikach  
161 Zwyrtnie karluse i ołbajny  
164 Hica, hicwele i blicablajtry  
167 Szlomkryjda, zokel i chlebowe kulki  
170 Gyburstag, gybis i sznuptabacka  
173 Ććmok i bezdzietny łojciec  
176 Sandwicz, czyli klapsznita z bajlagom  
179 Formetla, cypelmyca i ornklapy  
183 Tyta, pukeltasza i... Galotaria  
187 Szlachtowanie wieprzka, leber i leberka  
189 Kronżanie kapusty i bruszynie brzitwy  
192 Szkubanie piyrza i fyjderbal  
196 Sziber, szpryca i szlafmyca  
199 Dwie siykyrki i lajhynwagyn  
203 Geltag, pynzyjo, uwalit i biksyngelt  
206 Coby sie niy zmyszyć  
210 Rapsiki Eliasza i Pistulka  
214 Zacynomy sie asić



*„Pamiętka” z lotniska*

Dienststelle Feldpost Nr. O.U., den 5.8.1942  
L 21987 Hg.P.A. Breslau

Nach einjährigem Einsatz im Ostfeldzug dem  
Arbeitskameraden der Fliegertechnischen Gruppe

..... **Georg Okon** .....

als Anerkennung für gute Leistung und Führung  
überreicht.

*H. Tsch*  
Fliegerhauptingenieur  
und Technischer Leiter



# *Śląska historia powszednia*



Zaczyna się ona w czasach, które przeżyli i zapamiętali moi najbliżsi. I zdążyli mi o nich opowiedzieć. Historia poskładana ze wspomnień, pożółkłych dokumentów i wypłowiałych fotografii. Długo skrywana i prawie już zapomniana.

oooooooooooooooo

Na początku ubiegłego wieku, w podkatowickiej górniczej osadzie, żyło obok siebie dwóch Ślązaków. Starszemu było Paul, a młodszemu Jorg. Obaj pokończyli niemieckie szkoły. W domu Paula mówiono po niemiecku, u Jorga zaś godało się po ślonsku. Paul, człek stateczny, gminny „byamter” (urzędnik), mieszkał w willi, miał służącą, a w niedzielę z rodziną w kościele w drugiej tawce siadał. Zaś w wolnych chwilach grał w karty. Jorg był kowalem i robił na „grubie” (kopalni). Mieszkał w familoku, w kościele stawiał za filarem, a w wolnych chwilach przygrywał sobie na klarnecie. Ale w letnie wieczory, podobnie jak Paul, siadywał w pobliskim ogródku piwnym „Drei Glocken”. Czasem rozmawiali ze sobą o pogodzie. Jak równy z równym.

## ***Bóg, honor, Ojczyzna***

Gdy wybuchło I śląskie powstanie, Jorg, jako że był za młody, by wziąć „flinta” (strzelbę) do ręki, pilnował jakichś magazynów, śledził jakichś ludzi. Potem spokojnie wrócił na gruba, bo jako powstaniec niewybitny nawet do Sosnowca nie musiał z innymi uchodzić. W II powstaniu, nim wiadomość o jego wybuchu do niego dotarła – jak to się u nas godo, było już „po ptokach” (po wszystkim, za późno). Paul, który się nawet z miejsca nie ruszył, patrzył na niego spode łba.

*Jednostka Poczty Polowej nr.*

*O.U., dnia 5.8.1942*

*L 21987 Lg.P.A. Wrocław*

*Po rocznej służbie w ramach Kampanii Wschodniej przyznaje się towarzyszowi z Lotniczej Grupy Technicznej*

*Georg Okon*

*w uznaniu za dobrą pracę i dobre sprawowanie.*

*Główny inżynier lotniczej grupy technicznej  
i kierownik techniczny*

*Z archiwum autorki*



Wiadomo przecież było, że gdyby mu się chciało, stanąłby po przeciwnej stronie barykady. I jak „łońskiego” (zeszłego) roku, tak i teraz późną jesienią siadali przy piwie i rozmawiali. Jak równy z równym. No prawie.

oooooooooooo

Bo zaczęły się rozmowy inne – o plebiscycie, następnym powstaniu i Wojciechu Korfantym. Ale i tak każdy z nich wiedział swoje. Jorg czytał „Kocyndra”, a Paul „Pierona”. Gdy więc 20 marca 1921 roku poszli „zawelować” (zagłosować), zrobili to podług swojego sumienia. Potem ogródek piwny opustoszał, bo ludzie mieli co innego na głowie. W wolnych chwilach Jorg nie grał już na klawecie, ale w kuźni naprawiał poniemieckie flinty, a w nocy zakopywał je w lesie. Paul także nie grał już w karty, często gdzieś wyjeżdżał, a po nocach przeglądał jakieś papiery.

oooooooooooo

Polscy Ślązacy zmówili się kiedyś, by podczas niedzielnej mszy świętej, odprawianej po niemiecku, wejść na chór i zaśpiewać polską pieśń patriotyczną. Chcieli, by poszedł z nimi i Jorg, Polak z klawetem. On jednak odmówił. Nawet z Niemcami w kościele walczyć, jego zdaniem, nie uchodziło. Wszak Bóg był na pierwszym miejscu, a Ojczyzna dopiero na trzecim.

### ***Polska bieda***

Gdy Korfanty dał rozkaz i wybuchło III powstanie, sąsiedzi stanęli po przeciwnej stronie barykady. Jorg wyjął z szafy klawet i dołączył do orkiestry, która odprowadzała chłopców, co szli do powstania. Ogarniał go coraz większy zapał, aż całkiem zapomniał, że miał do domu wrócić przed wieczorem. Przecież matka nawet nie pobłogosławiła go na drogę. Gdy dotarł pod Górę Świętej Anny, ktoś dał mu powstańczą opaskę, ktoś kazał naprawić silnik w pancernym wozie. Przespał się w okopie, a rano, zamiast klawetu, wziął do ręki karabin i ani się obejrzał, jak został śląskim powstańcem. Nie wybitnym, ale dzielnym. Bez ran i orderów wrócił na gruba. Wrócił też Paul, który przesiadywał gdzieś po niemieckiej stronie. Czekali. Bo co do nich należało, każdy już zrobił.

oooooooooooo

Gdy w czerwcu 1922 roku przyszła tu Polska, Jorg upił się z radości, a Paul ze zgrozoty. Ale w ich życiu niewiele się zmieniło. Jorg, już jako

Jerzy, dalej robił na grubie, ożenił się i zamieszkał w innym familoku. Jak stracił pracę, dostał „wsparcie” (zapomogę) dla bezrobotnych – 7 złotych na tydzień. Dobrze, że żona miała kawałek pola. Ale co Jerzy, powstaniec szeregowy, mógł poradzić, skoro i ci, którzy *Virtuti Militari* za powstania mieli, bez pracy byli. Paul, teraz Paweł, jak dawniej pracował na gminie, mieszkał w tej samej willi, miał tę samą służącą i dalej mówił po niemiecku. Do kościoła chodził z rodziną na niemieckie msze. Ale gdy Jerzy dorobił jakiś grosz i zaszedł do piwnego ogródka, który nazywał się teraz „Trzy Dzwonki”, siadał obok Pawła. Rozmawiali ze sobą bez nienawiści, ale każdy z odrobiną żalu – Jerzy, że w tej Polsce jakoś mu się nie wiedzie, a Paweł, że choć czuje się jak u siebie, to u siebie nie jest.

### ***Obrączki w żeleźnioku***

Ich dzieci chodziły do tej samej szkoły, żony do tego samego „konzomu” (sklepu) i tylko latem, gdy Paweł zabierał swą rodzinę do wód, Jerzego żal ścisnął, że jego córka nie może pojechać nawet na kolonie. Związek powstańców też wybrał niewłaściwy. On, korfanciorz, był bez szans na jakiegokolwiek profity. Bo wtedy ci od Grażyńskiego dostawali ordery i koncesje na trafiki. W końcu sprzedał żonine pole, fortepian po ojcu i zaczął budować warsztat. Chciał nawet kupić ciężarówkę, ale pewnego ranka okazało się, że pieniądze to miał wczoraj, i teraz to może sobie nimi, łagodnie mówiąc, rozpaścić w piecu. A może po prostu miał pecha?

oooooooooooooooo

Nie trwało jednak długo i historia znów upomniała się o Jerzego i Pawła. Gdy ten drugi chodził na wiece i wieszał na swej willi flagę ze swastyką, Jerzy do skarbonki-żeleźnioka, co to do niej Stanisław Ligoń zbierał na karabin maszynowy dla polskiego wojska, ślubne obrączki i córki kolczyki wrzucił. W katowickim radiu słuchał audycji Karlika z „Kocyndra”, tymczasem Paweł nadającego z Rundfunk Breslau Teofilka. W ogródku piwnym coraz głośniej śpiewano niemieckie pieśni marszowe i Jerzy ze swym sfatygowanym klarnetem nie miał żadnych szans. Ogródek piwny podzielił się na dwa obozy, choć w obu mówiło się tylko o zbliżającej się wojnie. Wygranej oczywiście. Polacy wierzyli w sojusz z Anglią i Francją, a Niemcy we własną

potęgę. Raz to nawet spokojnego Jerzego złość jakaś wzięła i zapowiedział Pawłowi, że po wojnie nic już nie będzie jak przedtem i że on zamieszka w jego willi. Gdyby wiedział, że rozpęta tym dodatkową wojnę, na pewno ugryzłby się w język. Ale nie wiedział. Potem, gdy się czasem spotkali, nie siadali już obok siebie. I chyba żaden z nich już nie chciał być drugiemu równy.

### **Dobry znak?**

Gdy wybuchła wojna, Jerzego, z pięcioma śląskimi powstańcami, powołano do policji zastępczej. Zasiadł więc w gminie i przekładał papierki. Żona nosiła mu jedzenie, bo nie mógł zejść z posterunku. Ale niebawem powołano go do polskiego wojska. Najmłodszy już nie był, ale cieszył się jak dziecko. Wojaczkę swą skończył szybko i wrócił do domu. Wiedział, że nie do Polski wraca, ale czekała na niego rodzina. Cekał jednak i Paweł, który znów stał się Paulem. Na drugi dzień przyszło wezwanie, by Georg – tak było w adresie – stawiał się na niemieckiej policji, której siedzibą był... gminny urząd. Nie wróżyło to niczego dobrego. A że blisko był las, tam gdzie przed powstaniem flinty zakopywał, to się w nim zaszył. Żona znów nosiła mu jedzenie, ale czyjeś oczy ją wysłedziły. Jorg wyszedł z lasu, ubrał się porządnie – bo Ślązacy mieli w sobie niewytłumaczalny szacunek do urzędu, który obejmował też kwestię stroju – i poszedł się stawić. Tam już mieli na niego górę kwitów. Przesłuchanie trwało dwie doby. Pytali o różne rzeczy i Jorg z początku nie miał pojęcia, za co siedzi. Ale gdy zaczęli pytać o powstania i cytować zeznania „porządných Niemców”, w tym Paula, Jorg już wiedział. A że aresztu w gminie nie było, wypuścili go do domu. Teraz trzy razy na dobę musiał zgłaszać się na policji. Ta zaś wymyślała dla niego różne prace interwencyjne. Podczas zakopywania rowów znalazł ryngraf Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Naprędce, z grudką ziemi, włożył go do kieszeni. Uznał, że to dobry znak. Znak może i był, ale czy dobry?

### **Naprawdę porządný Niemiec**

A Paul w tym czasie nareszcie był u siebie. I nie był sam. Syna wychował na porządnego i lojalnego Niemca. Teraz on bronił ich



praw do tej ziemi. A robił to w niemieckim dowództwie. Jorg zaś miał tylko nieletnią córkę, bo dwaj jego synowie w niemowlęctwie pomarli, było więc dwóch na jednego. Paul z zapamiętaniem słuchał w radiu wszystkich przemówień Hitlera. Słuchali też inni, bo okna otwierał na oścież.

oooooooooooooooo

Niemcy do Jorga zaufania żadnego nie mieli, nawet do Wehrmachtu się nie nadawali. Wysłali go więc na roboty. Myślał, że trafi do bauera i jakoś przetrzyma, bo w klęskę Niemców nadal głęboko wierzył. Ale skierowali go na berlińskie lotnisko, do naprawy samolotów. Szef hangarów znał się na ludziach i Jorg, ze znakomitą znajomością niemieckiego i perfekcyjną ręką do rysunków technicznych, wpadł mu w oko. Wysłał go na kursy i dalszą naukę do Wrocławia, Lwowa, Rostowa, a nawet gdzieś do Danii. Gdy wrócił z dyplomem szefa hangarów, zaczął szkolić Niemców. Dostał mundur. Żółty trójkąt z literką P na granatowym tle sam sobie do niego przyszył, choć wcale nie musiał. Robił dla Niemców. Każdym naprawionym samolotem trzeba było wykonać próbny lot. A pierwszym oblatywaczem był Jorg. Kombinował więc z innymi Polakami, by samolot rozleciał się, ale nie tak od razu. Wezwał go kiedyś szef lotniska i pokazał te nieszczęsne kwity, co za nim wszędzie szły. Potem szybko wrzucił je do kosza. A Jorg poczuł wtedy, że nareszcie w jego życiu jakiś naprawdę porządny Niemiec się trafił. W domu nikt nie wiedział, gdzie jest. Rodzina korespondencję wysyłała nach Breslau.



**Zięć z Wehrmachtu**

Z wojny wrócił w 1946 roku, bez orderów, za to z raną w głowie. Mawiał, że to znaleziony ryngraf go uratował. Jak poszedł na zebranie byłych powstańców, szybko wrócił zdenerwowany. Nie znał tam prawie nikogo, więc więcej nie poszedł. Nie zapisał się też do ZBOWiD-u. Klarnet, co to nawet powstania przetrzymał, stał się łupem wojennym jakiegoś Rosjanina, który przyszedł Jorga oswobodzić. Udało mu się potem wygrzebać stare skrzypce, na których grał ku rozpaczni niemuzykalnej żony. Niemiecki dyplom pokazał w domu i zaraz podarł. Od Niemców niczego nie chciał, bo przecież honor był na drugim miejscu. Poszedł więc robić za majstra w państwowym warsztacie, konstruując w wolnych chwilach a to pralkę, a to fotograficzny aparat albo maszynkę do szatkowania kapusty. Miał na swym koncie nawet kilka patentów, ale nie potrafił zrobić na tym żadnego interesu.

oooooooooooooooo

Pawła widywał rzadko. Nie rozmawiali, bo o czym tu gadać. Jego syn nie wrócił z wojny, stary więc przycichł i choć znów było jeden na jednego, Jerzy też jakoś sobie odpuścił. Bo co mógł zrobić? Może i mógł, ale po co? Córka Jerzego dorosła, wyszła za mąż, a jemu dostał się zięć, który wprawdzie przed wojną skończył polskie gimnazjum, bo były też niemieckie, ale potem został wcielony przymusowo do Wehrmachtu.

**Nic nie będzie zapomniane**

Aktu zemsty rodzina Jerzego dokonała na Pawle dopiero po jego śmierci. Bo był zwyczaj, że wszyscy sąsiedzi zbierali się w domu zmarłego, by odmówić za jego duszę różaniec. Z rodziny Jerzego nie poszedł nikt. Zemsta trwała trzy dni. Na pogrzeb poszli, bo po śmierci zła się przecież nikomu nie pamięta. Pawła pochowano w grobowcu z granitową płytą i życie wróciło do normy. Jerzy żył jeszcze parę lat. Oczywiście dalej w familoku, bo żadna willa widać nie była mu pisana. Odszedł cicho, bez poczucia krzywdy i żalu. Bo kto powiedział, że w życiu człowiekowi ma być dobrze i lekko?

oooooooooooooooo

Paweł i Jerzy spoczęli na jednym cmentarzu, nareszcie równi. No prawie, bo nagrobek Jerzego był wykonany ze zwykłego lastryko. Dopiero

przed kilku laty na mogile Jerzego i jego żony Berty stanął nowy, granitowy pomnik, prawie taki, jaki miał Paweł. Ale to już niczego nie zmieni...

oooooooooooo

Jorg, czyli Jerzy Okoń, był moim dziadkiem, a cała ta historia jest prawdziwa.

oooooo



*od lewej: starzik Jorg, moja mamulka,  
starka Berta, prastarzik Wicek*

*Z archiwum autorki*





*Paweł Wróbel, „Pejzaż śląski”, 1978,  
ze zbiorów Muzeum Śląskiego w Katowicach*

# *Skond my sie wzigni?*



To bardzo proste, stond. Z Katowicow, Jonowa, Nikiszu, Burowca, Giszowca, Godule, Halymby abo Zobrze. Jedni sie samkej rodziyli, inksi przizyniyli – wzigni se kobyta abo chopa ze Ślonska, a jeszcze inksi spadli nom z nieba, a tak po prowadzie, to z cołki Polski. I abo my byli tymu radzi, abo niy.

oooooooooooo

Bo każdy był trocha inkszy niżli my. Inaksi „godoł” (mówił), inaksi „warzył” (gotował) i jodoł, a nawet „łoblecynie” (ubranie) miał inksze. A potem my „przibadali” (przyzwyczailiśmy się) na nich, a łoni na nos. I choć każdy miał inkszo „erbowizna” (dziedzictwo), szło sie dogodać. Ale z pogodanym z niymi po naszymu już było gorzi. Znom takich, kerzi sie samkej rodziyli, łotali ze ślonskymi „bajtlami” (dziećmi) po placu, grali z niymi w „bał” (piłkę), jeździli na „kole” (rowerze), robiyli „kopyrtki” (przewrotki) i dostowali łod „łojcow” (rodziców) „szmary” i „lyjty” (lanie), a nawet na stare lata niy „poradziyli” (potrafili) pedzieć po naszymu ani jednego zdanie. I żodyn niy miał jym tego za złe. Toż niy mogą „spokopić” (zrozumieć), jak może kogoś nerwować nasza godka.

oooooooooooo

Downo, downo tymu prawie wszyscy godali tu po ślonsku i jakoś „żodynemu” (nikomu) to niy „zawodzało” (przeszkadzało). Kedy w 1922 roku na Ślonsk, jak to sie wtynczos godało, przyszła Polska, prawie wszyscy, co tukej miyszkali, ucyli sie godać „cysto po polsku” (literacką polszczyzną). Były nawet szpecjalne kurse, bo jak ftoś chcioł robić w jakimś urzyndzie, musioł dobrze po polsku pisać i cytać. Do Katowicow przijechoł wtedy z Krakowa jedyn szewc, a było mu Walenty Kuciński. Chcioł dobrze zjeść i poszeł do hotelu „Savoy” niydaleko kościoła Mariackego, tam kaj chodziył na „bonkawa” (prawdziwą kawę, bo była tyż „malckawa” – kawa zbożowa) som Wojciech Korfanty, ale chyba sie niy „trefiyli” (spotkali). Ponoć jak tyn Kuciński zoboczył menu, szczyinka mu łopadła, bo był tam komport z zielonych wieprzkow, siedzone jajka, zgnity syr i wuszt z jynzorka. Kej to przecytał, zachoł mu sie „dźwigać” (robić niedobrze) i pojechał na łobiod do Sosnowca.

oooooooooooo

Duge lata ślonsko gwara była dło nikerych jynzykym lumpynproletariatu, a nawet gorzi, jynzykowym kalycctwym. Toż Ślonzoki bardzo chcieli, coby jejich bajtle godały cysto po polsku. Ale na niywiele sie to zdało, bo „dali” (nadał) poradzymy godać. Godało sie w doma, miyndzy swojymi, na placu – tako mało, ślonsko konspiracjo. Aż my sie „kapli” (sposzregli), co bez ty naszymy godki niy do sie żyć.

oooooooooooo

U mie w doma sie godało, ale „tojce” (rodzice) i „starziki” (dziadkowie) „dowali pozor” (uważali), coby w szkole, a nawet na religii, godała cysto po polsku. I godali, co po ślonsku to tyż jes po polsku, ino trocha inac. Ale łod casu do casu porozumiywali sie po niymiecku. Poradziyli, boć przeca końcyli niymieckie szkoły. Bardzo mie to nerwowato, boch nic niy rozumiała, ale to to jym chodzyło. I wtynczas spokopiyłach, co bajtle, dło jich dobra, niy muszom wszyskego wiedzieć. Przeca my tojcom tyż to wszyskym niy godali, i było to tyż dło jejich dobra.

oooooooooooo

Koždy przeżył swoje życie po swojemu, aż prziszet cas, kej noprzod starziki, a potym tojce pomarli. I naroz zech sie „wylynkła” (przestraszyła), co już niy mom sie z kym po naszymu pogodać. A jeszcze barzi tego, co może już nawet niy poradza. I teroz tak se myśla, co do tego „przonio” (kochania) naszymy godce trza „doroś” (dorosnąć) jak do inkszych, ważnych rzeczy. Bo łona może być dło nikerych jak „pukel” (garb), kery bydymy chcieć „skukać” (schować), ale tyż jak jakiś rodowy klyjnot, kery my erbli. Ło naszymy godce wszyscy dyskutujom, ale robiom to zawdy cysto po polsku, a to jom niy uratuje. Zrobić mogymy to ino my sami, kej zaś zacnymy miyndzy sobom godać. I to bez żodny konspiracji, ale tak „na cõtki karpyntel” (na pełny regulator).

oooooooooooo

Wziynach se to do gowy i mało, zech zaś zacta godać, to zactach tyż to spisować. Bo przeca każdy chciołby cośik po „sia” (sobie) łostawić. Swoje lata mom i prochu to jo już niy wymyśla, ale moga zrobić coś, co poradza. Pospominom, jak to było „piyrwyj” (kiedyś), bo to przeca kyns mojego żywota. Miało to leżeć w nojgłymbszy szuflodce, ale roz zech sie przed kymś wyzdradziła, no i dałach sie namowić, coby



zrobić z tego ksionszka. Momy juŷ „wielu” (duŷo) takich pisanych po naszymu, toŷ po co jeszcze jedna? Bo tamte niy były moje, dziolchy z Jonowa. I tak se myśla, co koŷdy moŷe spisać swoja ślonsko historia. Bo koŷdy mo inkszo i koŷdo jes „wielu wert” (ma duŷu wartość).

oooooooooooo

Momy słowniki gwary, jes ji coroz wiyncy w internecie, ale naszŷ godki niy do sie nauczyć jak angelskego abo nawet łaciny. Bo to niy jes „język obcy”, to jynzyk serca.

oooooo

## *Ślonszoki*



*Franciszek Kurzeja, „Pątnicy”, 1993,  
ze zbiorów Muzeum Śląskiego w Katowicach*

## *Za dwoje do starzikow*



Możecie sie spytać, jako to bydzie gwara. Moja, ta, keroch wyniosła z domu. Wiym, co wszyndy godało sie, i dali godo, trocha inacy. Starka z Piekor godali „knobloszki” (parówki), a ta z Jonowa na te same „wusztliki” (kiełbaski) – „oplerki”. U jedny jodalimy je z „zymftym”, a u drugi z „mostrichym”, bo każdy inaksi godała na musztarda.

oooooooooooo

W kuchni starka Truda mieli „szymel”, a u Berty stoł „hoker” i były to taborety. Łobie poradziły „sztopować” albo „ficować” (cerować), ale jedna „zoki”, a drugo „fuzekle” (skarpety). Starzik Jorg (Jerzy) nosił „szlips”, a starzik Zefel (Józef) „binder”, bo łoba chodzili w krawatach. Wielgi Ślonzok Alojzy Lysko z Bojszowow napisał saga ło swojym łojcu po ślonsku, a tak po prowdzie, to po bojszowsku. Jak żech sie zabrała za cytanie, niy było leko. Ale zaroz sie „pokapowałać” (zorientowałać), co to jes tyż i ło mojim tatulku, i ło mojim „potku” (ojcu chrzestnym), bo łonych tyż wziyni bez wojna do Wehrmachtu. Ale, dziynki Bogu, moji przyszli „nazod” (z powrotem), ino brat łojca, ujek Rudi, łostoł w ruski ziymi. I ani żech sie łobejrziała, jak było już z gorki, bo „przibadałać” (przywykłać) na te Alojzowe pisanie. Toż teraz bydymy se to brać polekutku, coby nawyknoć.

oooooooooooo

Nikerzi godajom, co prawie wszystko wziyni my z niemieckiego i niy ma sie cym „asić” (chwalić). Prowda, ale skond my mieli brać, kej Niyemce nami rzondziyli bez duge lata. Jakby sam byli Chińczyki, toż by my tyż cośik łod nich „erbli” (odziedziczyli). Wiele słow wziyni my łod Czechow, ale tyż łod Francuzow. Bo kej był samkej plebiscyt i ludzie „welowali” (głosowali), kaj chcom noleżeć – do Polski abo do Niyemcow, postali nom tukej wojokow Italjokow, Anglikow i Francuzow i ino ci łostatni byli po naszymy stronie.

oooooooooooo

Naszy godce trza „przoć” (kochać ją), a nawet sie przed niom pokłonić. Jak byłach w Hameryce, kaj w Teksasie kole San Antonio powstała piyrso ślonsko łosada Panna Maria, miyszkalać u Dorothy



*Fot.  
Franciszek  
Mazur /  
Agencja  
Gazeta*

mnieć „gorzółka” (wódka) kero sie tak nazywała. Ale łona nos niy łobchodzi. Nasza starka to babcia, casym nawet prababcia – matka łod mamulki. Zaś „starzik” (starzyk) to dziadek abo pradziadek. Może sie to wziyno stond, że jak w familii pokazały sie bajtle – wnuki, to łoni byli już starzi. Ale dziadkowie – starziki – to tyż „oma” (óma) i „opa” (ópa, ółpa). „Trefiało” (zdarzało) sie, że do dziadkow ze strony matki godało sie starka i starzik, a ze strony łojca – oma i opa. Ale, co było nojważniysze, to zawdy godało sie do nich „za dwoje” abo i „za troje”. Beztoż, coby pokazać, co łoni som dło nos „zocni” (godni szacunku).

Teroz godomy „babciu dej, dziadku pokoż”, prawie na „ty”, jak z „kamratym” (przyjacielem). Downi to było niy do pomyślynio.

## *hazel*

Pawelek, kero noleżała do cwortego pokolynio ymi-grantow i „rzondziyła” (mówiła) po naszymu. Kedyś, jakzech sie jom spytała, „kaj” (gdzie) idzie, łodpedziała mi, że do haźła. Tak sie kedyś godało na ustymp, ale jo se urojła, co to jes brzidko i zech ji pedziała, co u nos tak sie już niy godo. A Dorka na to, co to niy może być brzidko, bo jeji starka tak godali. Pocułał sie jakbych dostała w pysk, bo to łona miała „recht” (rację). To, co „padali” (mówiła) starka, było świynte.

oooooooooooooooo

Teroz, jak „łosprowiomy” (opowiadamy) ło starce, to nikerym może sie spo-



## *starka mojego tatulka, Katarzyna*

Padalo sie: Co Wy starko robicie? Abo prostsi: Co robicie? („wy” w domysle). Styszało sie tyż: Coście Wy starziku chcieli? „Za troje” miało niyroz w domysle, „toni” (oni): Co (toni) prziniyśli? Co (toni) bydom jeś? Terozki wydowo nom sie to śmieszne, ale należy pamiyntać to tym w casach, kej bajtle godajom do łojca abo matki po imiyniu. A Dorka godała to swoji starce za troje. I muszyny pamiyntać jeszcze to jednym – jak sie godo po ślonsku, to SIE godo, a niy się. Nigdy niy wymowiomy ani niy piszyny: ą, ę. Wiym, komputerowi sie to niy podobo i zdowo mu sie, że wiyy lepi. Ale muszyny mu sie postawić, bo przeca, przinajmni na razie, ton niy godo po ślonsku, ino my.

*Z archiwum  
autorki*



## *starzik moji kamratki*

*Z archiwum Krzysztofy  
Frankowskiej-Piechowicz*



## *Kasper Ololo i dama z persilu*



Downi ludzie u nas tobykali sie inaksi „na beztydziyń” (na co dzień), a inaksi na niydziała – do kościoła abo na szpacer. I nigdy niy chodzyło to to, coby było modnie – miało być stosownie, tradycyjnie i praktycznie. Ino casym trefiył sie jakiś „cudok” (dziwak) i wszyscy to niym godali, co wyglondo keby „Kasper Ololo”. A kobyta, kero stoła przy „waszpeku” (miednicy) i „waszbrecie” (tarce do prania), zapragła wyglondać keby „dama z persilu”.

oooooooooooooooo



*Źródło: domena publiczna*

*dama z persilu*



## *procesjo*



*Fot. Grzegorz Celejewski / Agencja Gazeta*

„łoblecynie” albo „łachy” (odzież) zawdy były ważne. „Kwiatkowane” (kwieciste), „śklonce” (błyszczące) regionalne stroje były bardzo „gryfne” (ładne), ale nosiły sie je łod świynta. Matki Polki łoblykały je na procesjo Bożego Ciała abo przy łodpuście. Strojły sie w biote czepce, „zamtowe jakle”, czyli kaftany z aksamitu, „zopaski” (fartuchy) w „blumy” (kwiaty) i turecke chusty. Ale na beztydziń chodziło sie po chłopsku. A że żodyn tego „ł” co było w śródku niy wymowioł, dało sie słyszeć: „po chopsku”.

oooooooooooo

Jakżech była bajtlym, niy poradziyłach tego „spokopić” (zrozumieć), bo przeca ani starka, ani ciotki, a nawet jejich kamratki niy miały dugich „galot” (spodni), toż te jejich łoblecynie nijak mi do chopskego niy pasowało. Na take kobyty godało sie tyż „chopionki”. W dugich do ziymi „spodkach” (spódnicach) i „bontych” (ciemnych) chustach wtopiały sie w „hołdy” (hałdy) i „familoki” (domy wielorodzinne). Ale zakładały na siebie jeszcze coś, co dzisiej byłoby niy do pomyślnio.

Był to kełbaśnik – konsek miynkego „sztofu” (materiału), kery sie skryncalo i wkłodało na „spodnica” (halka), nojlepi w pasie. Bo wtyn-  
czos „falty” (fałdy) spodka lepsi sie ukłodały, a co nojważniysze,  
„rzić” – „zadek” – „dupka” (tytek) były rubsze. Bo chopom podobala  
sie tako kobyta, kero miała na cym siedzieć – i niy chodzyło tukej  
ani to „stołek” (krzesło), ani nawet to „zesel” (fotel) – i miała cym  
dychać. I zaś niy tozchodzyło sie to żodyn „luft” (powietrze), kery już  
wtynczas był tukej „do bani” (kiepski). Choć „przodzi” (kiedyś) cho-  
dzyło sie „po bosoku” (boso), to potym zaćło sie nosić „szczewiki”  
(buty), take ze „szplatkami” (sznurówkami). I dobrze padom, co zaćło  
sie je nosić, bo jak już ftoś take miot, to je szanowoł, nios coćko droga  
i łoblykoł dopiyo przed kościołym.

oooooooooooooooo

Nasze starki i omy miywały tyż na „karku” (szyi) „pora” (kilka) sznu-  
row koroli, a na dole wisiot złoty krzyżyk. Nosiły tyż „załuśnicki” (kol-  
czyki), a zamias do „taśkow” (torebek) „wrażowały” (wkładały) to, co  
mogło jym sie w drodze przidać, do chustow abo spodnicy i zawion-  
zowały na wynzeł, coby tego niy „potracić” (pogubić).

oooooooooooooooo

„Chopy” (mężczyźni) niy musieli sie to to  
starać, bo wszyndzie mieli „kapse” (kiesze-  
nie). Nosiły „manszestrowe” (sztruksowe)  
albo „sztofowe” (z materiału) galoty, „sza-  
ket” (marynarkę), barchanowo „oberhymda”  
(koszula), „westa” (kamizelka), „jupa”  
(kurtka), casym „mantel” (płaszcz), a na gowie  
łobowionzkowo „mycka” (czapka) abo „hut”  
(kapelusz). A wszystko szarobure, bonte, bo  
na biołym abo jasnym zarozki by było widać  
„fleki” (plamy).

oooooooooooooooo

Ale casym pokozoł sie jakiś dziwolong, kery  
se łoblyk galoty w „sztrajfki” (paski), szaket  
w kratka, cerwono koszula, a do tego wszy-  
skega był niyłoszczidzony, niyłogolony, a na  
nogach miot żolte szczewiki. Wszyscy sie

## *chopionki*



*Fot. Bartłomiej Barczyk  
/ Agencja Gazeta*

za niym łoglondali, bo Ślonzoki, choć bardzo tolerancyjne, były tyż tradycjonalistami, a matki pokazowały takego bajtlom i godały, co wyglondo jak Kasper Ololo. „Kasper” to pajac. Godo sie nawet: „niy kaspruj”, czyli nie pajacuj. Kasper Ololo to była kuketka, kero grała w łostomajtych tyjatrzykach – trocha strach na „dziamble” (wróble), trocha „zawalaty” (niezręczny), cołki „potargany” (obdarty), pstrokaty, ale poradziył wszystkich łozweselić. Toż jak za modu chciałych sie wystroić, starka mi casym godali: „Dej se pozor” (uważaj), cobyś niy wyglondala jak Kasper Ololo.

oooooooooooo

Godalo sie tyż, co ftoś wyglondo jak „dama z persilu”. Dugo niy wiedziały co to znacy. W starych „cajtongach” (gazetach) stoło, co persil „uwolnił gospodynie od wyczerpującego pocierania, mieszania i uderzania prania na tarze”. Tara to tako drzewniiano, łobito pofalto-  
wanom blachom deska, na kero godalo sie „pradło”, „waszbret” abo „rompla”. I jak żech zoboczyła na reklamie krzinka z tym proszkym do pranio, to mi sie w gowie łoswiyciło. Bo „zachwolala” (reklamowala) go łoześmiono, modo „frelka” (dziewczyna) w biotyach „szatach” (sukni), co na gowie miała hut w stylu florynckym, a w ryncie czimiała persil. Take plakaty były wywiyszane niy ino na „mamlasach” (stłupach ogłoszeniowych), ale tyż na „chałpach” (domach). Toż może jak keroś „paradnica” (strojnisia) łoblykła sie keby z „motdynheftu” (żurnala), jeji kamratki trocha ze „zowiściom” (zazdrością) padały, co wyglondo keby dama z persilu.

oooooo